

WALERY PRZYBOROWSKI.

## CIEŃ.

(Powieść z przed stu lat).

Autor zastrzega sobie prawo przedruków i tłumaczeń.

18

Nie wiem dlaczego wybuchnęłam głośnym, spazmatycznym płaczem, tyle bo w tych ostatnich miesiącach, w starym zamku moich przodków, doznałam wzruszeń i wypadków, że byłam ciągle jakaś rozrzucona, jakaś tkliwość mię ogarnęła, co chwila gotowa byłam zalewać się łzami. Tak się też i teraz stało. Dziadunio obaczywszy mię płaczącą, przysunął się do mnie i chwyciwszy mię w swe objęcia, przycisnął do siebie, całował po twarzy i widocznie wzruszony, bo głos mu drżał, mówił:

— Juliś, dziecko moje, czego płaczesz? Bóję się Boga, uspokój się! A niechże to piorany zatrzasną! To tak zawsze bywa z temi dziewczętami. Nie płacz Juliś! Nie płacz! Wszystko zrobię, co będziesz chciała. Niech licha porwie wszelkie nienawiści! O, żebym miał teraz przed sobą tego Dolabellę, to dalipan kark bym mu skrzył.

Na te słowa ja, uspokoiwszy się nieco, zapytałam:

— Za co? Czy za to, że wnuczkę dziadunia kocha?

— No... pewno... że za to. I cóż? Nie płaczesz już.

— Nie, dziadunio.

— Chwała Bogu! Nie masz pojęcia, dziewczyno, jakże mię przestraszyłaś. Przecie jabym chciał tobie nieba przychylić. Niech kaduk porwie te wszystkie miłości! Pieśń, chuchaj, kłopot się, a potem przyjdzie pierwszy lepszy fidrygant i zabierze ci ją z pod nosa.

— A dziadunio, jak był młody, nie zrobił tak samo z babunią?

Zakręcił się i począł chodzić po pokoju i mówił:

— No, to były inne czasy i inni ludzie... to stare dzieje... zapewne! zapewne! ba! ba! ile to temu lat...

— Ale zawsze tak samo było.

— No, jak tam było, to było, a teraz gadajmy o tem, co jest. Cóż ja mam robić? Muszę przecie księciu wodzowi odpisać. Że też to on ma czas zajmować się takimi głupstwami, Boże odpuść! Zawsze miał wielkie serce i nie miał odwagi nikomu odmówić, gdy go o co proszono, a to licha warto! Wojnę prowadzi, potężny nieprzyjaciół na karku, a on instancje wnosi za zakochanymi. Gdybym go nie znał, nie uwierzyłbym temu. Cóż mam tedy odpowiedzieć, bo odpowiedzieć muszę, przecie to wódz naczelny polski. Cóż? Mam mu odpowiedzieć, że zgadzam się na to małżeństwo, co?

— O! już zaraz małżeństwo! — zawołałam z przekorą.

— Jaktó, zaraz małżeństwo? Więc cóż?

Rzuciłam się okrutnemu dziaduniowi na szyję i kryjąc zarumienioną twarz na jego piersi, szepnęłam:

— Niech dziadunio napisze, że... że... niema nic przeciwko temu, aby pan Tomasz...

— Jaki pan Tomasz?

— No, pan!.. Dolabella...

— To mu Tomasz na imię?

— Tak.

Dziadunio zamyślił się i po chwili szepnął raczej do siebie, jak do mnie:

— Tak samo, jak tamtemu... ha! niech się dzieje wola Boska! Widocznie to już takie przeznaczenie.

— O jakim przeznaczeniu dziadunio mówi? — zapytałam, choć doskonale odgadywałam myśl mego opiekuna.

— Mniejsza o to, nie mówmy o tem... więc cóż ten pan Tomasz?

— Niech dziadunio napisze do księcia Józefa, że pan Tomasz może... się starać... niby... o moją rękę.

I podnosząc oczy na starca i gładząc mu dłonią zmarszczkami poraną twarz, zapytałam:

— Cóż, dobrze?

— Ano... cóż mam robić? niech i tak będzie. Ale teraz o tem wszystkim nie może być mowy. Przecie jest wojna, a kajzerliki siedzą w Kielcach, więc ten pan Tomasz nie może tu przybyć.

— Rozumie się, że nie może przybyć, ale po wojnie...

— No tak! tak! po wojnie. Napiszę, że po wojnie...

Widoczną było rzeczą, że dziadunio miał jakąś myśl ukrytą; może liczył na to, że wojna długo się przewlecze, że niewiadomo, jaki będzie jej rezultat, że Austriacy nie pozwolą panu Tomaszowi tu przyjechać, że na koniec, rzecz ta musi być odłożoną na czas nieokreślony, a zatem zgoła nie jest pewnem, czy to przyjdzie do skutku. Dlatego to zapewne tak łatwo stłumił w sobie ową nierozsądną nienawiść i ustąpił przed moimi łzami, w tej nadziei, że kto wie, jak tam jeszcze będzie. Ostatecznie z całej tej rozmowy nabyłam przekonania, że dziadunio jest w najwyższym stopniu niechętny tej sprawie i choć otwarcie nie będzie się sprzeciwiał memu małżeństwu z panem Tomaszem, to skrycie rzecz będzie odwołował i gdzie mógł i jak mógł przeszkadzał. Ha! Zobaczymy. I ja też jestem Dziaduska i potrafię być upartą. Zobaczymy!

Dnia 24 Czerwca 1809 r. Parę tygodni nie zaglądałam do mego dziennika, bo nic ważniejszego się nie przytrafiło, przynajmniej nic takiego, coby mnie bezpośrednio obchodzić mogło, ale wczoraj... Ale trzeba to wszystko dokumentnie, jak powiada stara Gruszkowska, opisać, bo w dziejach moich przeznaczeń znowu jeden krok naprzód uczyniony został.

Od kilku dni rozeszła się tu wiadomość, że kajzerliki zdobyli Sandomierz, co ogromnie zmartwiło dziadunia. Nie widziałam go jeszcze nigdy tak upadłego na duchu.

— Wszystko przepadło — mówił — i jeżeli Wielki Napoleon nie poprawi sprawy, to nasi nie dadzą sobie rady z przemocą. Otóż to nieszczęśliwy los Polski. Bodaj to siarczyste pioruny zabiły!

Odtąd ani słówka nie mówił, nie jadł, zamknął się w swej kancelaryi, nikogo nie chciał widzieć, a jak Kociuba gadał, położył się nawet do łóżka, „z wielkiej aprehuzji“. Słowa Kociuby. Ale wczoraj rano dziadunio zjawił się na śniadanie i powiedział mi, że dla zasięgnięcia, jak się wyraził, języka, jedzie do klasztoru świętokrzyskiego. Ponieważ dawno już pragnęłam zobaczyć z bliska ten klasztor, którego wieżę ciągle widzę strzelającą wysoko ponad borami, więc zaproponowałam dziaduniowi, by mię zabrał ze sobą. Dziadunio zastanowił się i rzekł:

— Hm, chętniebym to zrobił, ale widzisz asińdźka, w klasztorze jest klauzura.

— Cóż to jest klauzura? — zapytałam, słysząc po raz pierwszy to wyrażenie.

— A to, że do klasztoru nie wpuszczają kobiet, zwłaszcza od ostatniej katastrofy z tym huncfotem Gwidonem, srogi co do tego są rozkazy księdza opata. Cóż więc z waćpanną zrobić? Ja bo muszę być w samym klasztorze, gdzież więc przez ten czas przebywać będziesz?

Roześmiałam się, słysząc o tej jakiejś klauzurze, nie dopuszczającej naszej płci do murów klasztornych, tak mi się to zabawnem wydawało, i mówiłam:

— To te mnichy tak się boją nas kobiet?

— A tak! — odrzekł dziadunio, śmiejąc się także — jakby się ukazał taki piękny dyabelek, jak waćpanna, to mógłby im głowy pozawracać, czego Boże broń. No jakoś to będzie. Skoro waćpanna chcesz jechać koniecznie, to i dobrze. Musisz jednak zostać poza furta klasztorną, co cię pewno nie znudzi, bo jest tam co widzieć. Starożytny to klasztor, jeszcze przez króla Bolesława Chrobrego wzniesiony. Ja też będę się starał nie długo zabawić u księdza opata. No, gotuj się asińdźka, bo zaraz jedziemy, żeby za chłodu rannego dostać się na górę.

Pojechaliśmy tedy. Podróż była bardzo przyjemna, ciągle wśród przepysznych lasów jodłowych i po paru godzinach znaleźliśmy się w miasteczku Słupi, u stóp góry Świętokrzyskiej. Z trudnością wdrapaliśmy się na tę górę, tak, że litując się nad zmęczonemi mocno kółmi, zeszedłam z wózka i za przykładem furmana większą część drogi pieszo odbyłam, o co się dziadunio na mnie trochę gniewał. Dzień robił się gorący, ale tu na górze panował silny wiatr, jak mówiono, stały gość tych stron górskich, istne siedlisko pogańskich brzków Swista i Pośwista. Dziadunio poszedł do klasztoru, a ja do kościoła, który zresztą żądał na mnie wrażenia nie robił, bo ani żadnych pamiątek tu nie było, ani też nie odznaczał się pięknnością. Wyszłedysz z kościoła, ujrzałam koło naszej bryczki, którą tu przyjechaliśmy z dziaduniem, jakiegoś żebraka z kosturem w rękę, prowadzącego taką rozmowę z Wawrzyńcem, naszym woźnicą:

— To wy jesteście z Zamkowej Woli?

— Tak.

— Daleko to stąd?

— Będzie dobra mila.

— A ktoś tam mieszka?

— A dziedzic, ktośby?

— Ja to wiem, jeno się pytam, jak on niby jest po nazwisku.

— Po nazwisku? Dziaduski się nazywa.

— Aha! To i dobrze.

— La czego dobrze? Macie to dziadku jaką sprawę do dziedzica?

— Ej, kajzeby... jeno tak bez ciekawość... Sam to dziedzic mieszka we dworze?

— Nie... jest i panienka.

W tejże chwili Wawrzyńiec mię zobaczył i zawołał:

— O idzie i panienka.

Dziad zżawo obrócił się ku mnie, zdjął obszarpną czapę z głowy i obrzuciwszy mię czarnemi oczami, których wyraz nadzwyczajnie mi się nie podobał, począł przenikliwym głosem prosić o wsparcie. Wyjęłam z kieszeni kilka groszy i dałam mu je, potem nie przywiązując do tego spotkania żadnej wagi, zwłaszcza, że pełno dziadów i bab siedziało koło kościoła, poszłam w głąb lasu, by spocząć i w cieniu oczekiwać na powrót dziadunia. Słońce dopiekało mocno i w borze tysiące muszek się unosiło i napełniało las brzęczeniem i szmerem, właściwym skwarnemu dniowi letniemu. Usiadłam na jakimś ogromnym kamieniu pod rozłożystą jodłą i nie myśląc o niczem, całą oddałam się kontemplacji bujnego życia, jakie dokoła mnie wrzało, gdy nagle za sobą usłyszałam trzask gałęzi i parę drobnych kamyczków z szelestem zsunęło się na dół. Co żywo odwróciłam się i na wielkie moje zdziwienie ujrzałam przed sobą tego samego dziada ze złości oczami, który przed chwilą rozmawiał z Wawrzyńcem. Nierozsądna moja wrażliwość spowodowała, że się przestraszyłam mocno i zerwałam się na równe nogi, wołając:

— Co to? Czego tu chcecie.

Dziad pokornie zdjął czapkę z głowy rzekł:

— Niech się jasna panienka nie boją, niema się czego bojać, ja przecie nic złego nie zrobię, jeno mam pismo do jaśnie panienki.

— Pismo? Do mnie?

— Tak, do paniąki Julianny Dziaduskiej?

— Od kogo?

— Ano... to jaśnie panienka obaczy. Tam musi podpis jest, bo jakżeby było przez podpisu.

To mówiąc, otworzył torbę przewieszoną przez plecy, wydobył z niej jakąś szmatę i począł ją rozwijać. Nie podobało mi się to wszystko bardzo i zaniepokojona byłam mocno tem spotkaniem z podejrzanym żebrakiem, w głuchym boru, tak że gotowa byłam każdej chwili do ucieczki. Rzekłam jednak:

— Schowaj sobie to pismo, ja od nieznajomych listów nie odbieram.

— Żebraw spojrzął na mnie swemi złości oczami z pewnym wyrazem zdziwienia i nie przestając rozwijać brudnych szmat, w których zapewne ów list był schowany, rzekł:

— A to jaśnie panienka nie zna pana adjutanta?

Uczułam, że mi żywy rumieniec oblał twarz, bo byłam przekonana, że ów list, tak tajemniczo mi wręczany, nie od kogo innego pochodzi, tylko od kawalera Tomasza Delabelli. Wszak był on adjutantem księcia Józefa, jak to pisała Hortensya i jak to wyraźnie zaznaczył pan Maksymilian Fredro w swem piśmie do dziadunia. Podczas kiedy żebrak wolno i mozolnie rozwijał swoje szmaty, moja wyobraźnia pracowała usilnie, chcąc usprawiedliwić i wytłomaczyć ten niezwykle krok ze strony kawalera i użycie takiego osobliwego posła. Że kawaler do mnie napisał, to mnie nie dziwiło wcale, owszem, pewien żal miałam do niego, że dotąd nie skomunikował się ze mną bezpośrednio, a użycie takiego posła tłumaczyłam sobie przerwaniami z powodu wojny wszelkiej komunikacji pocztowej.

Tymczasem żebrak rozwinał na koniec ohydne szmaty i z pośrodku nich wydobył duży, zabrudzony mocno list, ogromną pieczęcią lakową zapieczętowany i wsunął mi go w rękę. Już teraz wzięłam go bez wahania i spytałam:

— A gdzie jest pan adjutant?

— Tera, to ja nie wiem, bo słyszę, co cysarscy wżieni Sandomierz, ale to pismo to pan adjutant pisali w Sandomierzu i ja stamtąd idę.

— W Sandomierzu? — zawołałam zdziwiona. — Pan adjutant był w Sandomierzu?

— A ino. Przecie stamtąd idę... i cysarskich spotykałem po drodze i okrutecznie się bojałem,